

Przetarłem zmęczone czytaniem oczy, po czym wstałem od ciężkiego dębowego biurka i podszedłem do okna gabinetu. Niemal czarne od chmur niebo przecinały od czasu do czasu srebrzyste błyskawice, a strugi deszczu spływały po szybie i zacierały widok otaczających Muzeum Historii Starożytnej budynków. Ulicami miasta płynęły hektolitry wody, nieprzerwanie obmywając je kamień po kamieniu.

Westchnąłem i podszedłem do wieszaka, z którego zdjąłem swój czarny płaszcz. Wcale nie uśmiechał mi się powrót do domu w taką ulewę, ale też nie mogłem czekać w muzeum na jej koniec. Tym bardziej, że siedziałem dziś tutaj prawie dwanaście godzin, a kustosz jest takim samym człowiekiem jak każdy inny i także potrzebuje odpoczynku.

Wyszedłem z gabinetu, zamknąłem drzwi i ruszyłem pogrążonym w ciszy korytarzem. Zszedłem schodami na dół, przemierzyłem wielką salę, w której muzeum eksponowało egzemplarze średniowiecznej broni białej, po czym przeszedłem kolejny korytarz i otworzyłem drzwi wejściowe. Natychmiast z furją storpedowały mnie setki kropel zimnego deszczu, niesione silnymi podmuchami jeszcze zimniejszego, jesienno-wiatru. Kuląc się pod jego naporem i ściągając połę płaszcza, wyszedłem na zewnątrz, w ciemność. Wyciągnąłem z kieszeni klucze i zamknąłem drzwi. Alarm był włączony, więc mogłem pozostawić muzealne zbiory ich własnemu losowi.

Zbiegłem po niebezpiecznie śliskich schodach, podbiegłem do mojego zdezelowanego samochodu i z ulgą skryłem się w suchym, przesiąkniętym papierosowym dymem wnętrzu. Przekręciłem w stacyjce kluczyk i po krótkim, nieodłącznym krztuszeniu się, silnik wysłużonego wozu wreszcie zapalił. Marzyłem już tylko o tym, by wziąć gorący prysznic, zjeść kolację i rzucić się na łóżko.

Pokonawszy klatkę schodową kilkanaście minut później, znalazłem się wreszcie w moim małym mieszkaniu. Ściągnąłem mokry płaszcz, buty i zdejmowałem właśnie gruby sweter, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Zaskoczony niespodziewaną wizytą ruszyłem z powrotem do wejścia, zastanawiając się, kogóż to lichy niesie tak późno. Minęła już dwudziesta druga, lecz najwyraźniej nie deprymowało to w najmniejszym stopniu mego nieproszonego gościa.

Otworzyłem drzwi, nim zdążył przebrzmieć dźwięk drugiego dzwonka, i stanąłem twarzą w twarz z nieznanym mi, eleganckim mężczyzną po trzydziestce. Nieznajomy był wysoki, miał kasztanowe, zaczesane do tyłu włosy i przystojną, pociągłą twarz. Tkwiły w niej osadzone głęboko niebieskie oczy, które mi się nie spodobały. Wyzierała z nich jakaś bezwzględność, kiedy przybysz patrzył na mnie i uśmiechał się nieznacznie, jednym kącikiem ust. Jego szary garnitur i tego samego koloru płaszcz tylko w niewielkim stopniu nosiły ślady ulewy, a markowe półbuty wyglądały, jakby dopiero co je kupiono.

- Pan Tracki? Thomas Tracki? - zapytał obcy.

- Tak - potwierdziłem czekając, aż nieznajomy przedstawi się i wyjawy mi powód swej wizyty. Z mokrych włosów zaczęła spływać mi po czole kropla deszczu, więc uniosłem rękę i starłem ją. Mężczyzna uśmiechnął się szerzej i powiedział:

- Nazywam się Marc Waters i najmocniej przepraszam za wizytę o tak późnej porze. Starłem się wcześniej dodzwonić do pana, jednak bez powodzenia i dlatego właśnie ośmieliłem się przeszkodzić panu teraz, późnym wieczorem. Przyjechałem do Londynu dzisiejszego popołudnia aż z Waszyngtonu w sprawie nie cierpiącej zwłoki, bardzo ważnej dla mnie i dla ludzi, których reprezentuję - wyjaśnił.

- A cóż to za sprawa sprowadza pana do mnie? - spytałem zdziwiony.

- Zaraz to panu wyjawię, ale - jeśli można - chciałbym wejść do środka. Obiecuję, że nie zabiorę panu wiele czasu - wyrzekł te słowa z przeproszającym uśmiechem, jednak wiedziałem, że nie zdołam już go polubić. Fakt, że zachowałem się nieco niekulturalnie nie zaprosiwszy go, ale to jeszcze nie powód, by wpraszać mi się do mieszkania. Poza tym dzisiejsza psia pogoda wprawiła mnie w ponury nastrój, byłem zmęczony i głodny. Co innego, gdyby był długonogą pięknoscią o wielkich brązowych oczach. Wtedy pewnie bym nie zapomniał o konwenansach.

Nie był, ale i tak otworzyłem drzwi szerzej.

- Cóż, niech więc pan wejdzie - powiedziałem, chyba niezbyt starannie maskując odczuwaną irytację. Waters wszedł do mieszkania i nie ściągając płaszcza ani butów, skierował się od razu do pokoju, gdzie usiadł bez zaproszenia w dużym, bardzo wygodnym fotelu. Po drodze sam zapalił światło, a teraz rozglądał się po wnętrzu mojego kawalerskiego mieszkania. Patrzył na kilka regałów z książkami, zajmujących trzy ściany pokoju, na szklany duży stół, na moje łóżko i pozostałe sprzęty. Gdybym miał jakieś szafy, pewnie zajrzałby też do nich.

- Napije się pan czegoś? - zapytałem raczej z przyzwyczajenia niż z chęci zrobienia mu przyjemności. Oczywiście wcale nie zamierzał zaoszczędzić mi kłopotu.

- Tak, z chęcią napiję się kawy. Czarna, bez cukru - zarządził. Dobrze, że bez cukru, pomyślałem, bo pewnie i tak bym mu nie posłodził. Facet bez wątpienia był wyjątkowy; ledwo wszedł, a ja już miałem go serdecznie dość, podsumowałem nastawiając w kuchni wodę. Po chwili wracałem z dwiema czarnymi kawami, jedna z cukrem, druga bez, i z nieszczerym, uprzejmym uśmieszkiem przylepionym do twarzy. Mój gość w międzyczasie zdążył wyjąć jakąś książkę z półki i przeglądał ją teraz, czekając, aż podstawię mu kawę pod jego elegancki nos.

Usiadłem na łóżku, gdyż zajął mój jedyny fotel, a on odłożył książkę na szklany blat stołu. Położył ją okładką do dołu, ale zdążyłem zauważyć, iż była to Gra w życzenia Patricka Redmonda, jedna z moich ulubionych powieści. Ciekawe, czego w niej szukał, pomyślałem. Obrazków nie zawierała, więc może intrygowało go, jakim cudem zebrano do kupy aż tyle kartek?

Waters wyjął z kieszeni płaszcza paczkę lucky strike'ów i wytrząsnął kilka papierosów, częstując mnie i nie przejmując się tym, że w jego polu widzenia nie znajduje się żadna popielniczka. Pokręciłem przecząco głową i znowu ruszyłem do kuchni, zabierając stamtąd mosiężną popielniczkę i paczkę marlboro. Gdy wróciłem, on - jakże by inaczej - już palił, a szary dym snuł się smętnie nad jego głową.

- Żeby niepotrzebnie nie przeciągać mojej wizyty, przejdę od razu do rzeczy - powiedział, gdy usiadłem i sam zapaliłem. W tej kwestii byliśmy absolutnie zgodni. Mógł tylko to powiedzieć, zanim zaproponowałem mu kawę.

- Reprezentuję pewną elitarną grupę badaczy historii, której nazwę pominę, gdyż i tak niczego ona panu nie powie. Nie będę też zagłębiał się w szczegóły, powiem tylko, że przybyłem do pana z propozycją nie do odrzucenia. Spotkalibyśmy się już dużo wcześniej, gdybym nie miał takich kłopotów z natrafieniem na interesujący mnie ślad. Chodzi mianowicie o czternastowieczne dokumenty wielkiego mistrza krzyżackiego, Dytrycha von Altenburga, które znajdują się w pańskim posiadaniu.

Zdumienie odebrało mi mowę. Przez długą chwilę byłem tak wstrząśnięty, że nie mogłem nawet się poruszyć. Skąd on wiedział? Jak zdołał dowiedzieć się o tak rygorystycznie strzeżonej tajemnicy, której mój ojciec i jego ojciec, a także i ja, byliśmy strażnikami od długich lat?

Siedziałem sztywno, gapiąc się na niego bez słowa, aż nagle zacząłem kojarzyć fakty. Przypomniałem sobie zapisane zwięzłym, charakterystycznym pismem pamiętniki mojego ojca, ich szokującą treść, która przez całe moje życie była dla mnie przestrogą. Przypomniałem sobie jego obawy, a także wymuszoną na mnie, złożoną mu przysięgę dotyczącą tego, że nigdy nie ujawnię starych krzyżackich dokumentów. Pomimo blisko dziesięciu lat od chwili, kiedy po raz ostatni czytałem pamiętniki mego ojca, przypominałem sobie również to, że głównym celem Stowarzyszenia było odkrycie legendarnego skarbcza Dytrycha von Altenburga. Stowarzyszenie, jak z nieznajomości jej prawdziwej nazwy ochrzciliśmy z ojcem tę tajemniczą grupę, stosowało wszelkie możliwe środki, by zdobyć papiery wielkiego mistrza, odkąd ojciec mego ojca wydobyl je z sekretnego schowka znajdującego się w murach polskiego zamku pokrzyżackiego. Ruiny tego zamku mieszczą się dokładnie w Lęborku, a dziadek odkrył dokumenty podczas jego przebudowy w 1935 roku, gdzie spoczywały od czternastego wieku. Właśnie wtedy zmarł wielki mistrz i papiery zostały ukryte w dopiero co ukończonym zamku przez jednego z zaufanych braci zakonnych. Opisują one drogę do skarbu krzyżackiego i zostały w dużej mierze przetłumaczone przez

mego dziadka. Natomiast druga ich część, zawierająca pozostały tekst von Altenburga, znajdowała się w rękach Stowarzyszenia, które zamordowało dziadka dla ich zdobycia. Chciał je ujawnić i oddać na rzecz państwa, dlatego spotkał go tak straszny los. Od tamtego czasu ani ojciec, ani ja nie odważyliśmy się tego zrobić i nie zrobimy nigdy, gdyż bez tej części tekstu, która znajduje się w moim posiadaniu, Stowarzyszenie nie odszuka ukrytego skarbu Krzyżaków. Ojciec przez całe swoje życie nienawidził pozbawionych twarzy i nazwisk morderców i nie pozwolił, by dopięli swego. Był Polakiem, lecz wyjechał z ojczyzny, zmienił nazwisko i ukrył papiery, wiedzę o ich istnieniu przekazując tylko mnie, kolejnemu strażnikowi. Dzięki temu Stowarzyszenie nie wpadło na ich ślad przez długie lata. Aż do dzisiaj.

Waters przyglądał mi się, a na jego twarzy malowała się fanatyczna chciwość. Oczy tego mężczyzny rozbłysły wewnętrznym płomieniem, który sprawił, że przeszedł mnie dreszcz. Wiedział, że wreszcie trafił na to, czego Stowarzyszenie szukało przez kilkadziesiąt lat, a moja reakcja na jego słowa i najwyraźniej widoczne, targające mną emocje potwierdziły to, co dotychczas mógł tylko podejrzewać.

- Niech pan wyjdzie - powiedziałem czując, jak wściekłość narasta we mnie nieubłagane. Wściekłość na to przeklęte Stowarzyszenie, które nie pozwalało mej rodzinie żyć normalnie, które zamordowało mego dziadka i do teraz nie poniosło za to kary.

Waters dostrzegł, w jakim jestem stanie, ale jego podniecenie wcale nie zmalało. Patrząc mi prosto w oczy, rzekł:

- Jak powiedziałem, propozycja jest nie do odrzucenia. A to znaczy, że dobrowolnie czy nie, musi pan oddać nam te dokumenty. Lepiej, żeby pan się zgodził, gdyż opłaci się to panu - powiedział. Myślał najwidoczniej, że pieniądze wynagrodzą wszystkie krzywdy, całe lata poświęceń i obaw. Że wynagrodzą bezsilną nienawiść, jaką ja i ojciec żywiłszy do tych morderców, że zadośćuczynią śmierci dziadka.

- Wynocha - powiedziałem cicho, zaciskając pięści i drżąc cały z powstrzymywanego gniewu. - Nigdy nie dostaniecie tych dokumentów - dodałem, a on stracił panowanie nad sobą. Twarz wykrzywiła mu złość, oczy zwęziły się w małe szparki. Wstał i warknął:

- Myślisz, że przeciwstawisz się nam? Głupiec! - krzyknął. Ja również wstałem, podszedłem do małego biurka i z szuflady wyciągnąłem rewolwer ojca. Zawsze był naładowany i często go czyściłem, lecz ani ojciec, ani ja nigdy jeszcze nie musieliśmy go użyć. Teraz także nie miałem takiego zamiaru, jednak sam jego widok powinien zmusić Watersa do wyjścia.

Kiedy tylko go zobaczył, jego twarz zbieleła, choć wściekłe błyski nie znikły z jego oczu. Ruszył gwałtownie do drzwi. Przed wyjściem odwrócił się jeszcze i spojrzał na mnie, a na jego obliczu znowu wykwitł ten przeklęty uśmiech.

- Jesteś głupcem - powtórzył. Takim samym, jak twój ojciec i jego ojciec. - Otworzył drzwi i zniknął za nimi, a ja oparłem się plecami o ścianę, targany gwałtownymi emocjami i chaotycznymi myślami kłębiącymi się w głowie.

Rano, kiedy wysiadałem z samochodu przed schodami muzeum, zobaczyłem ze zdziwieniem jego otwarte drzwi. Kawalek dalej spostrzegłem jasnoniebieskiego mercedesa, który należał do mojego zwierzchnika, dyrektora muzeum. Zachodząc w głowę, co Alex Campbell może robić tutaj tak wcześnie, ruszyłem szybko po schodach, uciekając przed ciągle jeszcze padającym deszczem. Lało przez całą noc i nie zanosilo się na to, że szybko przestanie. Odpowiednie tło dla nastroju, w jakim znajdowałem się od wizyty Watersa.

Znalazłem dyrektora w moim gabinecie, jego i jeszcze jakiegoś starszego, siwiejącego jegomościa. Gdy wszedłem, obydwójce przerwali prowadzoną dotychczas rozmowę i spojrzeli po sobie znacząco. Nie spodobało mi się to.

- Dzień dobry, Thomas - przywitał mnie dyrektor.

- Witaj Alex - odparłem, po czym skinąłem głową nieznajomemu. Zacząłem ściągać płaszcz, kiedy

dyrektor powiedział:

- Poznaj Ernesta Balta, nowego kustosza.

Usłyszawszy jego słowa zamarłem, trzymając płaszcz w rękach. Powoli odwróciłem się do nich i zapytałem:

- Nowego kustosza? - mój głos brzmiał inaczej, obco, słysząc było w nim napięcie.

- Tak - potwierdził Alex. - Został przeniesiony tutaj z Birmingham, na twoje miejsce. To jest oficjalne wypowiedzenie. - Wskazał arkusz papieru leżący na biurku, starannie unikając mojego wzroku.

- Ale... dlaczego? - wykrztusiłem zszokowany. Dyrektor splótł dłonie na wydatnym, ukrytym pod białą koszulą brzuchu, by po chwili opuścić je wzdłuż ciała. Nawet bez moich pytań był już wystarczająco zakłopotany.

- To polecenie... decyzja o zwolnieniu ciebie... przyszła z góry. Przykro mi - powiedział, po czym ruszył w stronę drzwi, a nowy kustosz za nim. - Opróżnij biurko, Thomas, i zostaw klucze - rzucił na odchodnym, mijając mnie i znikając w korytarzu.

Długa chwilę stałem bez ruchu, nie potrafiąc pogodzić się z tym, co mnie spotkało. Zastanawiałem się dlaczego i jak, jednak nie mogłem dojść do żadnych konkretnych wniosków. W końcu założyłem z powrotem płaszcz i podszedłem do biurka, przy którym stało przyniesione przez Alexa puste pudło. Jego widok jeszcze bardziej mnie przygnębił, lecz zebrałem się w sobie i zacząłem wrzucać do niego swoje rzeczy. Po kilku minutach nie zostało już nic, co chciałbym wziąć, więc podniosłem pudło i powlokłem się do drzwi, a później schodami na dół, do samochodu.

Jechałem ulicami Londynu, kiedy nagle zrozumiałem, dlaczego straciłem pracę. Przyczyna była tak oczywista, tak diabelnie prosta, że sam sobie się dziwiłem, że nie wpadłem na nią od razu. Stowarzyszenie! To ich sprawka, sposób na złamanie mnie, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości.

Papiery z czternastego wieku. Moje myśli zaczęły krążyć dookoła nich, wokół dokumentów Dytrycha von Altenburga i jego nie odkrytego do dziś legendarnego skarbu.

Zgromadzono go w Polsce, konkretnie w 1331 roku. Idący z Kujaw Krzyżacy mieli połączyć się pod murami Kalisza z Janem Luksemburskim, który chciał zdobyć Wielkopolskę i rozbić państwo polskie. Ustalono początek działań wojennych na 8 lipca 1331 roku, a spotkanie pod murami Kalisza na 14 września. Król Jan, zagrożony przez koalicję cesarza Ludwika bawarskiego, Habsburgów, Węgier i Polski, postanowił pogodzić się z Ludwikiem i wyeliminować najsłabszego przeciwnika - Polskę. W sierpniu tego samego roku zawarł układ pokojowy z Bawarią i wkroczył na czele licznych wojsk na Śląsk. Krzyżacy bez skrupułów użyli krzyżowców przybyłych z zachodu, m. in. Anglików, do wojny z Polską. Dowódca wojsk zakonu, Dytrych von Altenburg, człowiek energiczny i bezlitosny, skłonny do okrucieństwa, poprowadził pierwszą wyprawę, mającą na celu zdeorganizowanie oporu w Polsce. I tutaj właśnie historia krzyżackiego skarbu ma swój początek. Rycerze Zakonu dotarli przez północne Kujawy pod mury Poznania, a w drodze powrotnej przeszli przez Gniezno, które zostało spalone.

Krzyżacy nie starali się zdobywać miast i zamków, pustoszyli natomiast wsie i miasteczka. Okradali ludzi, nawet tych, którzy chronili się w kościołach. Zabierali naczynia kościelne i relikwie, poszukiwali relikwii św. Wojciecha w Gnieźnie. Palili kościoły i klasztory, gwałcili i zabijali, co potwierdzają zeznania świadków w procesie kanonicznym, wytoczonym Krzyżakom przez Polskę w 1339 roku.

To właśnie z tej wyprawy pochodzi skarb von Altenburga, jak dziadek i ojciec dowiedzieli się z dokumentów krzyżackiego mistrza. Złote kielichy wysadzone drogocennymi, szlachetnymi klejnotami, święte relikwie, inkrustowane kością słoniową lub masą perłową srebrne puchary i kto wie, co jeszcze. Ja nie wiedziałem i, szczerze mówiąc, nie miałem ochoty się dowiedzieć. Dlatego, że to oznaczałoby współpracę ze Stowarzyszeniem, danie im tego, czego pragnęli najbardziej.

Gdy skręciłem w moją ulicę, całkowicie wypadły mi z głowy myśli o zakonie i jego skarbie. Ogarnął

mnie natomiast niepokój na widok wozów strażackich i tłumu gapiów, który tylko się spotęgował, kiedy zobaczyłem ciemny dym dobywający się z okien drugiego piętra brązowego budynku. Z okien mojego mieszkania.

Zaparkowałem gdzie się dało i podbiegłem do najbliższego strażaka, nie zważając na głębokie kałuże i przepychając się między ludźmi.

- To moje mieszkanie! Co się stało? - zapytałem go, choć znałem już odpowiedź. Znowu to przekłete Stowarzyszenie! Najpierw odebrali mi pracę, a teraz dom! I to wszystko w ciągu jednej krótkiej godziny! Mężczyzna w uniformie spojrzał na mnie zza szybki hełmu i powiedział:

- Nie znamy jeszcze przyczyny pożaru. Pana sąsiad zauważył kłęby dymu wydobywające się spod drzwi i zadzwonił do nas. Niczego nie udało się uratować, przykro mi. - Podeszedł do drugiego strażaka, mówiąc coś szybko do niego. Zauważyłem, że stojący obok sąsiedzi spoglądają na mnie i rozmawiają między sobą, prawdopodobnie litując się nade mną. Nie mogąc znieść ich spojrzeń, czując się jak zbity pies, odwróciłem się i wróciłem do samochodu, po czym odjechałem stamtąd nie zwracając uwagi na krzyczącego za mną strażaka.

Od trzech już dni przebywałem w hotelu, nie ruszając się z pokoju i rozmyślając. Wypląciłem z banku wszystkie moje oszczędności, których suma nie była zbyt imponująca, i nie miałem pojęcia, co robić dalej. Nie miałem żadnego rodzeństwa, jedynym moim żyjącym krewnym był podstarzały wuj, którego nigdy nie lubiłem, nie mogłem więc zwrócić się do nikogo o pomoc. Poza tym i tak nie chciałem obciążać kogoś innego moimi kłopotami, gdyż to mogło okazać się niebezpieczne.

Sytuacja jak ze scenariusza filmowego, pomyślałem. Samotny bohater ukrywa się przed grupą złych ludzi, skrywając tajemnicę, która dałaby im miliardy i światową sławę. Tyle że tutaj nie będzie żadnego happy endu.

Dużo rozmyślałem o amerykańskim Stowarzyszeniu, a także o dobrze ukrytych jeszcze przez mego ojca dokumentach. Doszedłem do wniosku, że owa zagrażająca mi elitarna grupa, której tylko jednego członka widziałem, musi mieć potężne wpływy. Pozbawili mnie posady kustosza w mgnieniu oka i spalili moje mieszkanie całkiem bezkarnie, a ja nawet nie znałem ich prawdziwej nazwy. Nigdy nie wyczytałem nawet wzmianki o podobnej grupie, nie natknąłem się też na najmniejszy ślad tego, że ktoś oprócz mnie wie o istnieniu papierów wielkiego mistrza krzyżackiego. Przez wszystkie te lata, jakie minęły od śmierci ojca, miałem oczy i uszy szeroko otwarte, jednak wydawało się, że nie istnieje nic takiego jak Stowarzyszenie. Cała moja wiedza na ten temat brała się z pamiętników ojca i jego słów.

Nie było tych informacji wiele. Wiedziałem, że ludzie należący do Stowarzyszenia byli głęboko zakonspirowani, a to znaczyło, że nie pozbawili mnie pracy jako grupa. Musiał tego dokonać jeden z jego członków, indywidualnie, co z kolei prowadziło do wniosku, że w skład Stowarzyszenia wchodziły wpływowe, a może nawet bardzo wpływowe osoby. Najgorsze jednak było to, że nie wiedziałem, do czego jeszcze ci ludzie mogą się posunąć. Najwyraźniej nie mieli oporów przed niczym, jeśli chodzi o dotarcie do skarbu von Altenburga. Posunęli się już do morderstwa i podpalenia, więc nic nie powstrzyma ich przed wydarciem mi czternastowiecznych papierów. Chociaż... raczej nie zabiją mnie tak jak dziadka, gdyż wtedy nigdy nie dostaliby ich w swoje ręce.

Naprawdę nie wiedziałem, co mam robić. Wyjechać z Londynu mogłem, owszem, gdzie i kiedy tylko chciałem. Papiery były bezpiecznie ukryte i nie zamierzałem ich nigdzie przenosić. Musiałem wystrzegać się spotkań z członkami Stowarzyszenia, ale dokąd miałbym pojechać? I co robić dalej?

Moje rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi hotelowego pokoju. Położyłem papierosa w rowku szklanej popielniczki i wstałem z fotela, ruszając do drzwi. Pociągnąłem za klamkę i otworzyłem je szeroko, by w następnej chwili oniemić.

- Dzień dobry, Thomas - powiedział Waters. - Mogę wejść? - dodał i odsunąwszy mnie z przejścia, bezceremonialnie wkroczył do pokoju. Usiadł w fotelu, a ja stałem jak słup soli przy otwartych drzwiach.

- Słyszałem, że spotykają cię ostatnio bardzo ciekawe, choć przykre, rzeczy - rzekł z beczelnym uśmiechem na przystojnej, gładko ogolonej twarzy. Byłem tak oszołomiony jego nagłym przybyciem, że nie wiedziałem nawet, co powiedzieć.

- Jak mnie znalazłeś? - spytałem w końcu. Miejsce początkowego zaskoczenia zajęła teraz zimna wściekłość i musiałem powstrzymać się od rzucenia się na niego z pięściami. Mogło to mieć dla mnie katastrofalne skutki, gdyż moja broń spłonęła wraz ze wszystkim, co znajdowało się w mieszkaniu. A bez niej mogłem sobie przecież z nim nie poradzić; nigdy nie miałem duszy wojownika.

- Zawsze cię znajdziemy, Thomasie Tracki - odparł z wyższością. – Zawsze, gdziekolwiek byś się nie udał. Będziesz musiał podjąć pracę, otworzyć konto w banku. Będziesz dostawał mandaty, a to i mnóstwo innych rzeczy naprowadzi nas na twój ślad. Będziemy stopniowo niszczyć twoje życie, zniszczymy każdą osobę, na której będzie ci zależeć. Zgotujemy ci prawdziwy koszmar, wierz mi. Jednak możesz tego uniknąć. Wystarczy, że oddasz nam dokumenty. Tylko tyle - przerwał i uśmiechnął się. - Zmądrzałeś już?

Również się do niego uśmiechnąłem, co trochę go zaskoczyło, i odparłem:

- Nie dostaniecie tych papierów. To moja ostateczna odpowiedź.

Waters wstał. Patrzył mi w oczy długą chwilę, stojąc z rękami w kieszeniach płaszcza. Wreszcie powiedział:

- Mylisz się. Nie uda ci się zniknąć, nie stracimy cię z oczu. Zawsze po przebudzeniu będziesz się zastanawiał, gdzie jesteśmy i co przyniesie ci nowy dzień. Czy żaden z przejeżdżających samochodów nie skręci nagle i cię nie potrafi, czy nie wybuchnie instalacja gazowa u twojego sąsiada. Każdy wypadek, jakiego będziesz świadkiem, zmusi cię do zastanowienia się, czy to rzeczywiście kaprys okrutnego losu, czy też jesteś pośrednim sprawcą śmierci następnego człowieka. Każda niezwykła rzecz, każdy teoretyczny zbieg okoliczności będzie ci uświadamiał, że jesteśmy gdzieś obok. Jak długo to zniesiesz, Thomasie? Jak długo będziesz mógł tak żyć?

Nie odezwałem się. Waters minął mnie i wyszedł na korytarz, a ja zamknąłem za nim drzwi. Wiedziałem, że już nigdy go nie zobaczę.

Tego samego dnia wieczorem boy hotelowy wszedł do jednego z pokoi i odkrył zwłoki mężczyzny, który powiesił się na dużym żyrandolu. Białe prześcieradło ciasno opinało jego szyję, usta miał rozchylone, a oczy zamknięte. Ramiona zwisały swobodnie wzdłuż ciała, na stoliku nie leżał żaden list. Boy zgasił światło, pograżając pokój w ciemności. Później zamknął drzwi i ruszył schodami w dół, zastanawiając się nad ulotnością ludzkiego życia.

Tomasz Graczykowski www.tomaszgraczykowski.republika.pl (18.VI.-21.VI.2002r)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

tomaszgraczykowski, dodano 25.04.2012 08:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.